POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE
(in U.S.A. and Canada 5c.)

Wychodzi co tydzień — *Dnia 28-go września 1946 r* — **Rok VIII. Nr. 39**

O NASZĄ POSTAWĘ

DALSZA SŁUŻBA

Wyrzekając się szczęścia powrotu do Ojczyzny, musimy świadomie wziąć na siebie trud i ciężar, połączony z życiem na obczyźnie. Nie mając innego rozumnego wyjścia z sytuacji, w którą nas zapędziły niezależne od nas siły i wypadki, pamiętać musimy, że pozostanie za granicą nie tylko nie zwalnia nas od rzetelnej nadal służby dla Polski, ale przeciwnie nakłada nowe pod tym względem obowiązki.

Pomimo wielkiego nieszczęścia, jakie nas wszystkich spotkało — niemożności powrotu do wolnej Polski — jesteśmy w porównaniu z naszymi rodakami w kraju w tej uprzywilejowanej sytuacji, że żyjemy na wolności, mamy prawo i możność wypowiadania naszych przekonań i formułowania naszych politycznych i społecznych żądań bez obawy dostania się pod władzę NKWD czy „Bezpieki", bez strachu przed aresztowaniem czy deportacją.

Stanowimy wielką gromadę, którą łączą trwałe i głębokie wspólne interesy, tradycje i dążenia. Nie tylko nie możemy i nie chcemy ich się wyrzekać wskutek faktu pozostawania poza Polską, ale przeciwnie dążeniem naszym jest i będzie zachowanie tych tradycji narodowych, jakie nas łączą ze sobą i z krajem, pielęgnowanie nie tylko języka i kultury polskiej, ale i dalsza walka o prawo Polski do rzetelnej wolności i europejskiej demokracji; nie tylko obrona naszych uchodźczych praw i interesów, ale obrona praw i interesów Polski przede wszystkim.

SPRAWA WOLNOŚCI JEST WSPÓLNA

O nie bowiem walczymy od siedmiu lat, dla ich obrony poszliśmy za granicę, do krajów zaprzyjaźnionych, aby łącznie prowadzić nieustępliwą walkę z wrogami wolności człowieka i narodów. Pomimo ciężkich rozczarowań, jakie nam zgotowano, nie przestaliśmy jeszcze wierzyć, że sprawa wolności człowieka i narodów nie przegrała ostatecznie i że demokracje zachodnie, z W. Brytanią i Stanami Zjednoczonymi na czele walki tej w gruncie rzeczy nie porzuciły, że ich obecne wahania i pozorne ustępstwa mają raczej znaczenie taktyczne.

Nie możemy uwierzyć, by te wielkie narody i państwa, tak wysoko ceniące wolność własną, mogły w samolubnym zaślepieniu okupywać własny spokój na krótką metę kosztem wolności cudzej, wolności innych narodów i państw; zwłaszcza zaś kosztem wolności narodów, które wspólnie z nimi przelewały krew i ciężkie ofiary ponosiły, by powalić największego tej wolności wroga i gnębiciela.

Nie możemy ani na chwilę przypuścić, by oświecona opinia tych demokracji, by ich wielcy mężowie stanu nie rozumieli, czy też nie pamiętali, że złamanie wolności w jednym kraju, zagraża jej istnieniu we wszystkich innych. Pod tym zaś względem położenie geograficzne naszego kraju, jego tradycje historyczne i obecne znaczenie polityczne, nadają sprawie wolności w Polsce tak wyjątkowo wielką wagę, że bez żadnej przesady można powiedzieć: *utrwalenie wolności politycznej i prawdziwej demokracji społecznej w Polsce jest warunkiem jej uratowania w całej Europie*. Gdyby zaś wolność Europy została zaprzepaszczona, nie byłoby możliwe uratowanie jej ani dla W. Brytanii, ani dla Stanów Zjednoczonych.

ZWIĄZEK Z ZACHODEM

Stąd wypływa nieprzeparta logika głębokiej wspólnoty interesów niepodległej, silnej i demokratycznej Polski, której my bronimy — wbrew administracji warszawskiej i jej wschodnim protektorom — z demokracjami zachodu Europy i Ameryki, z demokracjami Dominiów Brytyjskich.

Jesteśmy z nimi związani całą naszą tysiącletnią historią i wspólną walką podczas tej ostatniej wojny, której gorzkie skutki targają żywe ciało naszej Ojczyzny. Nie zawsze my sami zdajemy sobie sprawę z tej solidarności interesów, a nasi sprzymierzeńcy i przyjaciele, ulegając zbyt często — jakże ludzkiej! — słabości chodzenia po linii najmniejszego oporu, o tej solidarności zapominają łudząc się, że za cenę jej chwilowego zdradzenia zdołają osiągnąć dla siebie jakieś trwałe korzyści.

Nie zrażajmy się tymi błędami, które nas tak bardzo bolą! Nie zrażajmy się, ponieważ wbrew nawet dzisiejszym przypuszczeniom ich autorów, nie będą oni mogli zejść z jedynej drogi dyktowanej ich własnym interesem: drogi twardej obrony wolności na całym świecie, a przede wszystkim wolności w Europie, z Polską na czele. Gdyby tego zaniechali na czas dłuższy, sami znaleźliby się w śmiertelnym i nieodwracalnym niebezpieczeństwie.

PRZECIW WSCHODOWI

Z faktu, że należymy do świata zachodniego, do świata wolności i demokracji, do świata ideałów chrześcijańskich, wynika w sposób naturalny nasze krytyczne, powiedzmy wyraźnie — nieprzyjazne nastawienie do narzuconej Polsce przez Moskwę administracji warszawskiej. Głównym bowiem zadaniem, jakie dane zostało przez Komintern Bierutom i Osóbkom do wykonania, to wtłoczenie Polski w obcy jej świat Wschodu, świat na pół azjatycki, na pół rosyjsko-niewolniczy, świat ucisku jednostki i ucisku całych narodów.

Pozostając za granicą, trwamy na posterunku wyznaczonym nam przez historię: już od końca XVIII-go wieku od czasów Kościuszki i Poniatowskiego, poprzez własne powstania, poprzez wszystkie rewolucje świata, wbrew spiskowi międzynarodowemu Carów, Kaiserów, Hitlerów i innych dyktatorów białych czy czerwonych, wbrew antypolskiej propagandzie pseudo- historyków, służących niemieckiej czy rosyjskiej zaborczości, wbrew oportunizmowi zawodowych dyplomatów i polityków-ignorantów, wbrew wielokrotnym oświadczeniom, że Polska już raz na zawsze została wykreślona z listy narodów niepodległych (ostatnio w pakcie Ribbentrop-Mołotow) — sprawa Polski i jej wolności nieustannie wraca, jako kamień węgielny sprawiedliwego urządzenia świata.

Pomimo naszej pozornej słabości, pomimo tylokrotnego rozgromienia naszych bogactw i sił narodowych przez rozlicznych wrogów, zawsze wstaje Naród Polski jak gdyby z grobu — skrwawiony, ale dostojny, rzekomo powalony, a wiecznie nie tylko żywy, ale zdumiewający wszystkich swoją żywotnością i energią.

Jesteśmy nadal wśród walczących o wolność i o lepsze jutro dla siebie i dla innych. Nikt nam tego miejsca odebrać nie ma prawa i nikomu go sobie wydrzeć nie damy. Niejedna jeszcze potęga ziemska padnie, tłukąc się o tę skałę, jaką Naród Polski stanowi — aż wreszcie Wolność zatriumfuje!

NOWY PUNKT ZBIÓRKI

Temu celowi służymy. Dla tego celu gromadzimy się na tej pochmurnej, ale wiecznie zielonej wyspie: chmury przejdą, a zielona ruń nadziei nie zawiedzie wiernych sobie i silnych wolą zwycięstwa. Wyspa ta jest od wieków targana groźnymi nieraz falami oceanu, ale z tego samego oceanu idzie orzeźwiający oddech wolności świata. Burze są żywiołem człowieka, tak samo jak jego żywiołem jest wolność. Idziemy poprzez ciężkie burze historyczne ku wolności Polski i świata.

Jeszcze burza nie minęła. Stoimy pośród grzmotów i błyskawic, targani przez wicher historii i słabnący chwilami z pragnienia wolności. Mamy jeszcze dość sił — i my i nasi w Polsce — by dopłynąć do brzegu.

TRUD CODZIENNOŚCI

Tylko nie łudźmy samych siebie, że stwierdzenie tych faktów i prawd wystarcza, by sprawa posuwała się naprzód. Nie łudźmy się także, by życie codzienne, jakie stoi przed nami, było stale wypełnione podniosłą, entuzjazmującą, niezwykłą walką o najwyższe ideały, abyśmy mogli codziennie spełniać jakieś nadzwyczajne czyny, nosić na sobie znamię historycznych dokonań.

Pamiętajmy, że wielka historia małych i wielkich narodów składa się z milionów drobnych codziennych czynów. Tak samo jak robotnik, wykonujący w mozolnej pracy jakąś drobną cząstkę samolotu, nie zdaje sobie najczęściej sprawy z tego, że buduje wspaniałą maszynę, pozwalającą na niebotyczne loty o zawrotnej szybkości, tak samo i poszczególny obywatel, dający swą codzienną pracę w służbie wojskowej czy cywilnej, w pracy fizycznej czy umysłowej nie widzi bezpośrednio wielkich celów, do których osiągnięcia się przyczynia.

Taki stan rzeczy we wszystkich dziedzinach naszej działalności sprawia, że często popadamy w przygnębienie i zwątpienie, poddając się wrażeniu — a jest ono zgoła złudne — jakoby praca nasza stawała się bezcelowa i bezużyteczna. Przypomnijcie sobie — wy, coście przeżyli Cassino, i wy, którzyście nie padli pod Falaise — jakie to były trudne i ciężkie chwile, jak było nieraz rozpaczliwie beznadziejnie i nic się nie wiedziało po co i na co, czy ofiary są celowe i czy aby pomoc nadejdzie i czy uda się osiągnąć cel bezpośredni — wykonać zadanie, jakie wam wówczas dano. A obydwie bitwy miały olbrzymie skutki i zostaną na zawsze w historii tej wojny.

ŻOŁNIERSTWO „SPRAWY"

Dzisiaj, już po zakończeniu walki zbrojnej a przed zdobyciem wolności, jesteśmy w gąszczu takiej właśnie bitwy o Cassino wolności, takiej właśnie osamotnionej walki o zatkanie luki pod Falaise. Nie widzimy dobrze całości sytuacji, nie dostrzegamy, gdzie i jakie siły oraz z jakim skutkiem walczą o to samo, co nam jest tak drogie. Walka duchowa i polityczna o podstawowe prawa człowieka i narodu jest daleko więcej złożona od najbardziej skomplikowanej bitwy nowoczesnych armii.

W takiej bitwie zbrojnej odgrywają rolę decydującą rozmaite czynniki widzialne, dające się obliczyć, zmierzyć, przewidzieć, rozplanować. W walce ducha ludzkiego, w zmaganiach się wielkich idei, skomplikowanych interesów, olbrzymich mas żyjących w rozmaitych krajach, tkwi wielka ilość takich sił, które nie dają się ani obliczyć, ani rozplanować dokładnie, ani opanować, ani rezultaty tych zmagań nie dają się przewidzieć. Jedno jest wiadome z doświadczeń historii: człowiek często osiąga rzeczy na pozór niemożliwe, jeżeli wie dokładnie, czego chce, jeżeli wierzy w słuszność swojej sprawy, ma wytrwałą wolę i nie żałuje energii.

Dlatego dzisiaj pamiętać musimy na codzień, że trwamy w walce o SPRAWĘ — tak przodkowie nasi nazywali walkę o niepodległość i wolność Polski i tak my mamy prawo ją nazywać. Bo znowu w wyniku międzynarodowej zmowy przeciwko naszemu krajowi znaleźliśmy się w takim samym położeniu, w jakim były poprzednie pokolenia polskie.

Twardy codzienny obowiązek żołnierza, obowiązek opromieniony sławą i bohaterstwem, musimy zamienić na równie twardy a bardziej na pozór zwyczajny obowiązek pracownika pokojowego. Jak ubranie cywilne jest mniej ozdobne od munduru wojskowego i mniej znaczne, tak praca pokojowa mniejszą zwraca uwagę, aniżeli czyny zbrojne. Stąd żołnierz — w dodatku będący poza krajem — dość niechętnie przyjmuje powrót do „cywila", powrót do szarzyzny zwyczajnego żywota „poczciwego człowieka". Ale to w istocie żadne nieszczęście, tylko zwykły porządek rzeczy: wojna wiecznie trwać nie może.

PRZYKŁAD ZA OCEANEM

Przestając być żołnierzami Polskich Sił Zbrojnych, nie przestajemy być żołnierzami SPRAWY. Spojrzyjcie tylko na Polonię Amerykańską: obywatele Stanów Zjednoczonych, którzy kiedyś d o b r o w o l n i e z Polski wyemigrowali, często wcale Polski nie widzieli, bo już na obcej ziemi się zrodzili, a jak nadal wiernie krajowi swego pochodzenia służą! Jak gorliwie, jak wytrwale, jak umiejętnie praw swojej d a w n e j ojczyzny bronią i w Ameryce i wobec Narodów Zjednoczonych i na Konferencji Paryskiej. A przytem pozostają wierni swej nowej ojczyźnie, Stanom Zjednoczonym, których obywatelstwo tak wysoko sobie cenią i z którego są równie dumni, jak ze swego polskiego pochodzenia. Mamy w nich wielki przykład, jak można służyć Polsce pomimo pozostawania poza jej granicami.

Nasza rola jest jednak nieco odmienna. My nie rezygnujemy jeszcze z powrotu do Polski. My go na razie odkładamy. Musimy wszakże urządzając obecnie nasze nowe życie szykować się jednocześnie na dwie możliwości: albo pobyt nasz zagranicą przeciągnie się na znacznie dłuższy czas, niżeli byśmy pragnęli albo też sprawy tak się pomyślnie rozwijać będą, że dane nam będzie prędko powrócić do Polski. Człowiek ostrożny i rozsądny musi tak sobą kierować, by być przygotowanym na najgorsze.

NA DŁUGI DYSTANS

Dlatego zakładać musimy jak gdyby nasz pobyt zagranicą miał trwać długo. Stąd obowiązek przygotowywania się do zawodów, któreby można wykonywać w W. Brytanii czy też w innym kraju według wyboru danej jednostki. Stąd przede wszystkim konieczność gruntownego nauczenia się języka angielskiego, bez czego nie można być zdatnym do żadnej pracy. Raz zdobyta dobra jego znajomość stanowić będzie życiowy dorobek o wielkiej wartości bez względu na to, gdzie nas losy rzucą: język bowiem angielski jest językiem całego niemal świata i daje ogromne korzyści każdemu, kto go zna dobrze.

Wyszkolenie zawodowe nabyte w W. Brytanii będzie miało podwójną wartość: raz jako fach czy umiejętność, powtóre zaś jako okazja zapoznania się z metodą pracy inną aniżeli nasza, jako okazja również nawiązania stosunków osobistych z ludźmi tego samego zawodu w W. Brytanii, co może być bardzo korzystne w razie naszego powrotu do kraju. Jeżeli podróże kształcą człowieka, to te niezwykłe i długie podróże oraz przebywanie w tylu różnych krajach powinny nas wykształcić, przekształcić i nauczyć niezwykle dużo.

Od nas samych jednak zależy, czy będziemy biernie i leniwie spędzali czas, narzekając na swoich i obcych za wszystkie gorycze i przykrości, jakich los nam istotnie nie szczędzi, czy też w każdej sytuacji i każdego czasu będziemy chciwie korzystali z niezwykłej okazji uczenia się wszystkiego co nas otacza: kraju, ludzi, języka. Uczenia się z życia samego, z książki, ze szkoły nam dostępnej, z praktyki, jaka się otwiera. Do odważnych i czujnych świat należy, nieśmiali i bierni giną w najbardziej sprzyjających okolicznościach.

Zawołaniem naszym być musi: odważnie i czujnie, skromnie, ale stanowczo, cierpliwie i wytrwale, z wiarą w siebie i Polskę zdobywać i umacniać prawa i stanowiska dla każdego z osobna i dla wszystkich łącznie.

WITOLD PIŁAWSKI

GRÓB MICHAJŁOWICZA

Rozstrzelano wolność jasną i sławę,
Zapędzono pieśni harde za kraty —
Wiatr żałobnie nad doliną zawył,
Krew zatruła modry Adriatyk.

Dla przybłędy sztandary podeptano —
Za łaskawy uśmiech przygodnej drużby!
Jakże wrogo teraz nad Jadranem,
Kiedy w piersi brata Kain nóż wbił.

Nic za darmo! Czart za was mszę odprawi!
Duszę wodza zagarnął wiatr gorący.
Groźnie dymią góry Jugosławii,
Trwoga sen spokojny zdarła z nocy.

Z głębi serc bolesny wyrasta szaniec,
A na szańcu gniew ziarnka krwi odlicza,
Aż pokutny odrzuci różaniec
I otworzy grób Michajłowicza.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

Dlaczego partyzantka?

Wielu Polaków znajdujących się zagranicą, a więc nie pod groźbą pistoletu i karabinu maszynowego najemników NKWD, nie może pojąć skąd w Polsce, tak wyniszczonej i potrzebującej za wszelką cenę wytchnienia, biorą się jeszcze szaleńcy, którzy nie bacząc na beznadziejną sytuację, porywają za broń i kontynuując partyzantkę prowokują jeszcze gorszy terror ze strony okupanta sowieckiego. Człowieka z Polski to także niepokoi, ale nie dziwi. Partyzantka jest musem wytworzonym przez obecną sytuację w kraju.

Oto na przykład podczas krwawego tłumienia trzeciomajowych manifestacyj w Krakowie władze chciały użyć dwu kompanij Szkoły Podchorążych Piechoty do zamknięcia ulic prowadzących z Rynku. Podchorążowie widząc, co grozi studentom, nie usłuchali rozkazu i porzuciwszy dowódców, uczynili osłonę, dzięki której akademicy zdołali wycofać się z Rynku w ulicę Grodzką. Funkcjonariusze NKWD I UB znienacka otworzyli na nich ogień. Podchorążowie wycofali się ze stratami i oczywiście już nie wrócili do koszar. Dla wielu z nich pozostało tylko jedno wyjście — pójść w lasy. Szeregi partyzantów wzmocniły się o kilkudziesięciu desperatów.

Czy wobec tego i tylu podobnych innych faktów można się dziwić istnieniu partyzantki w Polsce? Więc partyzantka walczy.

Z ostatnich miesięcy nadeszło kilka nowych szczegółów o jej działalności. Oto w okolicy góry Turbacza, koło Rabki, miała miejsce wielka bitwa, w której partyzanci stracili podobno około 70 ludzi. W Gorcach przebywa kilka tysięcy silnie uzbrojonych partyzantów. Sprzyja im teren i przychylność ludności góralskiej. Na szosie Kraków — Rabka partyzanci zarekwirowali 15 samochodów, działając nawet w biały dzień.

Również silne oddziały ukazywały się na Śląsku Cieszyńskim, likwidując na terenie Wisły, Żywca, Ustronia i Szczyrka — placówki UB.

Pacyfikacja rejonu Białegostoku przeprowadzana przez NKWD, UB i MO wciąż trwa, przy czym często padają ofiarą ludzie zupełnie niewinni.

W okolicy Małkini oddział partyzantów zdobył sowiecki pociąg z cukrem i rozdał zdobycz okolicznym wsiom. Wojsko wysłane na poszukiwanie cukru nie czyniło wysiłków, aby wykryć sprawców.

Terror w Polsce wywołuje partyzantkę, partyzantka — terror. Słowem błędne koło nieszczęść nieupragnionego raju.

ROMAN ROK

Przegląd tygodniowy

PO DYMISJI WALLACE'A

Kryzys w rządzie amerykańskim, wywołany starciem pomiędzy ministrem handlu i b. wiceprezydentem Stanów — Wallace'em, a ministrem spraw zagranicznych, t.zw. sekretarzem stanu, Byrnesem, zakończył się, jak wiadomo, dymisją Wallace'a. Każdy dzień kryzysu przynosił nowe niespodzianki, zaś prezydent Truman działał w całej tej sprawie tak niezręcznie, że osobisty jego prestiż bardzo ucierpiał i to zarówno w Ameryce, jak za granicą. Dymisja Wallace'a, który pierwotnie cieszył się poparciem Trumana, a został przez niego zdezawuowany dopiero po silnych naciskach — częściowo zresztą z łona własnej partii demokratycznej — jest dowodem prawdziwości naszego twierdzenia z zeszłego tygodnia, że interes państwowy Ameryki nakazuje jej zachowanie zdecydowanej linii politycznej wobec Sowietów.

Triumf Byrnesa jest zarówno triumfem amerykańskiej racji stanu oraz zdrowego rozsądku, sławnego anglosaskiego „*common sense*", jak też osobistym sukcesem taktyki ministra spraw zagr. Zaprosił on bowiem do współuczestnictwa na konferencji paryskiej senatorów: demokratę Connally i republikanina Vandenberga, gwarantując sobie tym samym poparcie obu wielkich partii, szczególnie zaś wszechwładnej komisji spraw zagranicznych Senatu.

Po pierwszej wojnie światowej i po traktacie wersalskim, Senat odżegnał się od tego traktatu, oraz od Ligi Narodów i utrącił próby reform idealisty Wilsona, który, mimo swojej praktyki profesorskiej, zapomniał widać o uprawnieniach Senatu w dziedzinie polityki zagranicznej. Min. Byrnes, nauczony tym smętnym doświadczeniem, zapewnił sobie „boki". Zaatakowany od „tyłu", przez kolegę w gabinecie i kolegę partyjnego, potrafił zwyciężyć.

Osłabiło to jednak szanse wyborcze uzyskania większości w następnym Kongresie przez partię demokratyczną. Jeżeli większość ta przejdzie do republikanów, prez. Truman znajdzie się w trudnej i bardzo niewygodnej sytuacji: wybrany przez demokratów, będzie musiał jeszcze przez dwa lata sprawować urząd prezydencki, mając przeciwko sobie większość republikańską w Parlamencie.

Niektórzy komentatorzy twierdzili, że prez. Truman naumyślnie wywołał cały ten kryzys, aby dać opinii publicznej w Ameryce możność wypowiedzenia się za jednym lub drugim kierunkiem polityki wobec Rosji. Jeżeli tak postąpił, byłaby to tylko próba przerzucenia odpowiedzialności z bark własnych na tłum anonimowy. Żadne państwo w ogóle, a zwłaszcza największe mocarstwo świata nie powinno operować argumentami polityki międzynarodowej dla rozgrywek wewnętrzno-politycznych.

PSOTLIWY CHURCHILL

Kiedy Churchill nawoływał do głosowania na konserwatystów i poniósł — w wyborach do Izby Gmin w r. 1945 — druzgocącą klęskę, przeciwnicy polityczni b. premiera oświadczyli: „Oddajemy hołd wielkiemu mężowi stanu, który doprowadził do zwycięstwa W. Brytanii w drugiej wojnie światowej. Występujemy jednakże przeciwko politykowi partyjnemu, do którego, w tym charakterze, nie mamy zaufania".

Obecnie, p. Churchill jest tylko „przywódcą opozycji J.K.M." i nie ponosi — oczywiście — żadnej odpowiedzialności za rządy. Kiedy występuje publicznie, jako były minister obrony narodowej czasu wojny — np. przy uroczystym wprowadzeniu go na Lorda Strażnika Pięciu Portów lub przy licznych nadaniach mu obywatelstw lub doktoratów honorowych — widać, jak popularny jest ten wielki mąż stanu. Kiedy jednak przemawia w sprawach polityki międzynarodowej — budzi p. Churchill w słuchaczach mieszane uczucia. Dotyczy to zwłaszcza ostatniego jego przemówienia, wygłoszonego przed wyjazdem ze Szwajcarii, do studentów szkół uniwersyteckich w Zurychu.

Przemówienie to brzmiało niemal, jak mowa zdolnego człowieka, który nie jest fachowcem politycznym, ale jedynie amatorem. Nie uwzględnił w nim Churchill ani stanu faktycznego chwili obecnej, ani czynnika najbardziej zasadniczego — psychologii narodowej.

W mowie zurychskiej Churchill wypowiedział się, bardzo słusznie, za koniecznością dążenia do stworzenia Stanów Zjednoczonych Europy. W zrozumieniu mówcy, federacja kontynentalna nie obejmowałaby ani W. Brytanii, ani też Rosji. Są to wszystko projekty znane, w rodzaju np. Unii Federalnej, o czym, na początku wojny, pisał m.in. obecny lord, a ówczesny Sir William Beveridge [ten sam, który zabłysnął później swoimi planami ubezpieczeń społecznych i pełnego zatrudnienia].

Skolei jednak rzucił Churchill prawdziwą bombę: oświadczył on, że na czele Stanów Zjednoczonych Europy stanąć ma Francja — wspólnie z Niemcami. Należy wprawdzie ukarać winnych Niemców, potem jednak trzeba zapomnieć o przeszłości. Nie należy im pozwolić na rozpoczęcie nowej wojny zaczepnej, ale to nie przeszkadza, że Churchill promuje ich od razu do roli przewódców „wspólnej chrześcijańskiej kultury europejskiej".

Z przykrością stwierdzamy, że mowa ta jest niepoważna i niegodna imienia Churchilla. Spotkała się ona zresztą — w różnych krajach — z ogólnym zdumieniem i potępieniem.

„TITO SOVIETICUS"

Wódz „wolnej" i „demokratycznej" Jugosławii, który wytacza procesy o zdradę stanu i skazuje na śmierć przywódców walki z Niemcami z okresu, kiedy pp. Ribbentrop i Mołotow nie tylko żyli w przyjaźni, ale nawet czynnie ze sobą współpracowali, przejdzie do historii, jako „Tito Sovieticus". Dyktator, który walczy z hierachią duchowną zarówno prawosławną, jak też katolicką, więzi biskupów i żąda ich podporządkowania władzy świeckiej, nawet jeżeli są duszpasterzami serbskimi...w Ameryce, uznaje sam jedną jedyną religię, to jest nakazy Kremla. Stwierdza to obecnie nawet organ tak życzliwy Rosji, jak londyński „*Times*", który w dwóch specjalnych artykułach omawia ustrój Jugosławii ściśle wzorowany na ZSRR.

Tito domagał się wycofania wojsk alianckich z Włoch. Po częściowym zadośćuczynieniu temu mógł sobie pozwolić na gangsterskie prowokacje w samym Trieście i okolicach. Wzbudził tym nienawiść miejscowej ludności, która ma dość tyranii Mussoliniego i nie chce zamienić faszysty w czarnej koszulł na takiego samego faszystę w koszuli czerwonej. Gdy nadomiar Tito miał czelność skarżenia się u Anglików i Amerykanów na napady, dokonywane przeciwko jego oficerom i żołnierzom, oba rządy w jednobrzmiących notach odrzuciły w dniu 17 września r.b. pretensje Jugosławii i stwierdziły, że napady i prowokacje wyszły wszystkie od jugosłowiańskiej „Bezpieki", dobrze widać wyuczonej przez NKWD.

Pisma angielskie i amerykańskie podały — (każde albo prawie każde, bo np. jeden wielki „liberalny" organ londyński ogłosił o tym tylko kilka wierszy drobnym drukiem) — noty własnych rządów. Nie zauważyliśmy, aby w czołowych organach podkreślony został należycie fakt, że obie noty oddano w Belgradzie jednocześnie; że teksty noty amerykańskiej i brytyjskiej były jednobrzmiące; że obie noty podano jednocześnie do wiadomości publicznej — a mianowicie w kilka dni po ich doręczeniu. Wszystkie te fakty wykazują niezbicie, iż Londyn i Waszyngton, zdając sobie sprawę, że mają do czynienia z jednym z satelitów sowieckich, uzgadniają z góry swoje postępowanie wobec Jugosławii i wspólnie działają we wszystkich sprawach, dotyczących pośrednio lub bezpośrednio wpływów sowieckich.

NOWA CZYSTKA W ROSJI

Zastanawialiśmy się, kilka tygodni temu, dlaczego polityka sowiecka jest tak krzykliwa i napastliwa. Wyraziliśmy wówczas pogląd, że nie jest to objaw siły i pewności ale, na odwrót, słabości i kompleksu niższości.

Ostatnie wiadomości, dochodzące nas z Rosji, wydają się potwierdzać to przypuszczenie. Po niełasce marsz. Żukowa, tłumaczonej też częściowo, jako wyznaczenie na „front turecki", po ostatecznym usunięciu z ministerstwa spraw zagranicznych starego Litwinowa, autora doskonałego i zupełnie zapomnianego...na Kremlu określenia napastnika, nadeszły wiadomości o wielkiej czystce w kołchozach, o zmianie nazwy „czerwonej" armii i marynarki wojennej na „sowiecką", o rozruchach w okolicach Magnitogorska i td. i td.

Pisarze i literaci sowieccy potępiają „odszczepieńców", za jakich nagle uważa się wielkiego satyryka Zoszczenkę, który „obraża naród sowiecki" i wielką poetkę Annę Achmatową, która nie wykazuje zrozumienia klasowego... Partia komunistyczna, która wzrosła podczas wojny, jest również gwałtownie i gruntownie „czyszczona", a kult carów, wodzów, dawnych „wojen patriotycznych" a nawet „zwycięskich generałów" obecnej wojny jest nagle ograniczany i ściśle ujmowany w karby „generalnej linii" kompartii.

W Rosji coś znowu kotłuje: nie wiemy jeszcze co, ale zdajemy sobie sprawę, że ferment osiągnął duże rozmiary i że władze sowieckie uważają za konieczne zakomunikowanie o tym również i światu zewnętrznemu.

Znakomity publicysta i dziennikarz Paul Winterton, który długo przebywał w Sowietach i napisał bardzo ostrą krytykę stosunków rosyjskich po powrocie do Anglii, oświadczył, m.in.: „Nie ma specjalistów, którzy znają się na Rosji. Mamy do czynienia jedynie z ludźmi o różnym stopniu niewiedzy". Dlatego też trzeba odczekać dalszy przebieg wydarzeń, przyczem musimy pamiętać, że każdy kataklizm sowiecki odbija się nie tylko w sferze wpływów rosyjskich, ale na całym świecie.

Londyn, 25 sierpnia 1946.

ZASTĘPCA

W oczach obcych

Niedzielni czytelnicy prasy lorda Beaverbrooka spożywali swój porydż i bekon śniadaniowy z uczuciem lekkiego dreszczyku sensacji: „*Sunday Express*" — bity w nakładzie dwóch i ćwierć miliona egzemplarzy — zamieścił bowiem pod dramatycznym tytułem „Gryzą rękę, która ich karmiła" niemniej dramatyczny artykuł wstępny. Pierwszy ustęp tego artykułu brzmi:

„Oskarżenia sowieckie na Radzie Bezpieczeństwa ONZ, jakoby Grecja i W. Brytania prowadziły politykę, zagrażającą pokojowi na Bałkanach, zostały odrzucone większością 9 głosów przeciwko 2. Rząd sowiecki został poparty przez jeden jedyny głos — Polski".

Fakt ten nasuwa „*Sunday Express*'owi" następujące melancholijne rozważania:

„Jak krótka jest pamięć ludzka! Właśnie 7 lat temu, W. Brytania, gwarantując wolność Polski, przystąpiła do wojny ze względu na Polskę... Nie mogliśmy wstrzymać nawałnicy nazistowskiej przed zalaniem Polski, a Rosja, widząc to zagarnęła połowę kraju".

Po sześciu latach ciężkich walk i ofiar i po pobiciu Niemiec:

„Polska chce skazać nas za przestępstwo, którego nie popełniliśmy. Polska i Rosja zeszły się razem i głosują przeciwko W. Brytanii".

Autor artykułu wstępnego, który liczy się widocznie z tym, że przeciętny czytelnik „*Sunday Express*'u" połknie, przy śniadaniu, nawet takie „rozumowania", stara się jednak, na wszelki wypadek, zabezpieczyć przed zbyt druzgocącą krytyką samodzielnie myślących czytelników:

„Można by argumentować, że nie przemówiła tu prawdziwa Polska. Może rząd polski, pod wpływem bliskości i potęgi Rosji, nie odzwierciadla prawdziwych uczuć narodu polskiego. Może wdzięczność Polaków wobec W. Brytanii nie ma możności dojścia do głosu... Jednakże nauka z tego jest jasna: podobnie jak nagła wrogość może zerwać stosunki międzynarodowe, wrogość pomiędzy poszczególnymi narodami może zostać szybko zażegnana..."

„*Sunday Express*" uczciwie stwierdza, że w r. 1939, łącznie z „*Daily Expressem*" —tj. cały koncern prasowy lorda Beaverbrooka — „ze wszystkich sił" sprzeciwiał się udzieleniu Polsce gwarancji brytyjskiej. Pismo zaznacza, że powodem tego było zrozumienie, iż W. Brytania nie ma możności praktycznej obrony Polski przed ewentualnym atakiem. Nie sprzeczajmy się o powody, stwierdźmy tylko, że żaden Polak nie ma jakichkolwiek zobowiązań wdzięczności wobec prasy lorda Beaverbrooka, natomiast zarówno sam lord Beaverbrook, jak też jego redaktorzy winni są dużo wdzięczności Polakom z *Battle of Britain*, spod Tobruku, Monte Cassino i Falaise. „*Sunday Express*" doskonale wie, że to nie „Rosja i Polska zeszły się", ale że kolega partyjny lorda Beaverbrooka, p. Churchill doprowadził w Jałcie do „porozumienia" o Polsce bez Polaków. Samo stwierdzenie, że „W. Brytania gwarantuje wolność Polski" sprowadza już cały artykuł do absurdu, ponieważ nawet najbardziej słabo orientujący się Anglik wie dobrze, że w Polsce dzisiejszej żadnej wolności nie ma i że narzucony krajowi rząd jest wyraźną ekspozyturą moskiewską.

Najbardziej zabawny jest jednak fakt, że, z okazji głosowania nad wnioskiem sowieckim, prasa lorda Beaverbrooka...czepia się Polski. Czemu nie atakuje samych Sowietów? Odpowiedź jest prosta: ponieważ lord Beaverbrook oddawna kokietuje Moskwę.

Przez swoje nieodpowiedzialne łamańce polityczne, p. Beaverbrook sam przypieczętował rolę gazet, które wydaje: wprawdzie miliony ludzi kupują „*Express*", ale prawie nikt z czytelników nie stosuje się do „zaleceń" politycznych, ogłaszanych na jego łamach. Wynik wyborów z r. 1945 świadczy, że społeczeństwo ma dosyć przekręcania faktów przez wybitnych konserwatystów: wiadomo bowiem powszechnie, że zwycięstwo wyborcze labourzystów było przede wszystkim wynikiem niesmaku większości opinii publicznej wobec taktyki ówczesnej partii rządzącej, bynajmniej zaś nie skutkiem entuzjazmu dla socjalistów z *Labour Party*.

Rozgrywka taktyczna pomiędzy pp. Byrnesem i Mołotowem, tym razem na tle zachodnich granic Polski, powoduje odruchowo westchnienie: „broń nas, panie Boże od naszych t.zw. przyjaciół" Wśród prawdziwego potoku komentarzy, warto zacytować parę ustępów z londyńskiej socjalistycznej „*Tribune*", odznaczającej się umiarem i zdrowym sądem.

„Fakt, że p. Byrnes wspomniał w Sztutgarcie o prowizorycznym charakterze granicy polsko-niemieckiej, zmusił ostatecznie Związek Sowiecki do wyboru pomiędzy konkurencyjnymi żądaniami jego niemieckich i polskich protegowanych. Przywódcy niemieckiej „Socjalistycznej Partii Jedności" [t.j. bloku komunistów i fałszywych socjaldemokratów. przyp. tłum.] *po raz pierwszy wystąpili publicznie w ciągu ostatnich dni swojej kampanii wyborczej za rewizją granic. Polscy komuniści, ze swej strony, rozpoczęli w całym kraju kampanię przeciwko „protektorom Niemiec", oskarżając PSL Mikołajczyka o liczenie na poparcie tych samych mocarstw anglosaskich, które, jak się obecnie okazało, są nieprzyjaciółmi Polski".*

„Pan Mołotow, licząc się przede wszystkim z tym, że przemawia już po odbyciu się głosowania w Niemczech, a w przeddzień ostatecznej decyzji co do bloku wyborczego w Polsce, opowiedział się całkowicie za Polakami..."

„...Mowa Mołotowa oświetla jednak bardzo dziwnie politykę rosyjską, która nasamprzód zainicjowała zbrodnię wypędzania milionów ludności, a potem łowiła przywódców niemieckiej „Partii Jedności" na przynętę ewentualnej rewizji granic. Obecnie Rosjanie „odkryli", że rewizja ta byłaby „okrutna" nie tylko dla Polaków, ale również i dla samych Niemców, których by trzeba było przesiedlać po raz drugi".

Cytujemy te wywody z pewnymi zastrzeżeniami co do ostatniego ustępu, sądzimy jednak, że zawierają one, mimo wszystko, dużo elementów zdrowej i bezstronnej oceny sytuacji.

LECTOR

Polska pod okupacją: walka o prawdziwe oblicze P.P.S.

ROZBIJANIE STRONNICTW OD WEWNĄTRZ

Komuniści, zorganizowani w Polskiej Partii Robotniczej, z wielką energią dążą do zupełnego opanowania życia politycznego w Polsce. Zasadniczą ich metodą dla osiągnięcia tego celu było wprowadzanie własnych ludzi do władz różnych partyj politycznych, lub aranżowanie własnych tworów pod szyldem znanych przed wojną stronnictw politycznych z dodaniem „dla dekoracji" paru dawnych członków, pozyskanych różnymi sposobami.

Metoda wprowadzania swoich ludzi do innych stronnictw nie dała komunistom od razu pełnego sukcesu, za wyjątkiem Stronnictwa Demokratycznego, które podporządkowało się im bez większego oporu. Dopiero ostatnio opanowane zostało bez reszty Stronnictwo Pracy, na którego czele stanął wiceminister informacji i propagandy dr. Widy-Wirski, nie mający do niedawna nic z nim wspólnego.

Wprowadzenie elementów komunistycznych do Stronnictwa Ludowego skłoniło Mikołajczyka i Kiernika do utworzenia niezależnego od komunistów Polskiego Stronnictwa Ludowego, a pozostawienie Stronnictwa Ludowego we władaniu komunistycznym. Dlatego też nie mając wewnątrz niego swoich ludzi, komuniści w walce z PSL stosują teraz inne sposoby. Główną ich bronią przeciw PSL stanowi terror, morderstwa przywódców, rozwiązywanie placówek stronnictwa na drodze policyjno-administracyjnej i propagandowe stawianie członków PSL w jednej linii z bandami, zdrajcami, Niemcami i td.

Czwartym stronnictwem, które komuniści starają się zupełnie opanować od wewnątrz jest PPS. O ile chodzi o „góry" tej partii, to komunistom powiodło się to zadanie, jednakże z „dołami" sprawa przedstawia się odmiennie.

POWSTANIE FAŁSZYWEJ P.P.S.

W czasie okupacji niemieckiej Polska Partia Socjalistyczna, ta znana przed wojną, działała pod kryptonimem WRN (Wolność, Równość, Niepodległość) i na czele jej stali Pużak, Arciszewski, Zaremba, Białas i inni. Obok WRN powstały różne inne drobne ugrupowania socjalistyczne; jednym z nich była RPPS (Robotnicza Partia Polskich Socjalistów).

Podczas okupacji niemieckiej komuniści rozpoczęli starania o przyciągnięcie RPPS do współpracy. Starania te pozostały jednak bez rezultatu, gdyż grupa ta, aczkolwiek pozostająca w opozycji do Rządu R.P. w Londynie, stała na gruncie niepodległości. Jedynie pięciu działaczy z Osóbką-Morawskim na czele przeszło na stronę PPR, wbrew uchwałom większości RPPS. Ta grupa Osóbki „stworzyła" w Lublinie obecne, fałszywe PPS, działające w Polsce. Autentyczni działacze albo zostali aresztowani (i wtrąceni do więzienia jak n.p. po procesie moskiewskim), albo pozostali na uboczu.

We wrześniu 1945 Zygmunt Żuławski — działacz PPS przed wojną — wystąpił do prezydium Krajowej Rady Narodowej o „zalegalizowanie" Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej jako ugrupowania PPS odmiennego od partii Osóbki i Szwalbego. „Prezydent" Bierut nie zgodził się jednak na tę propozycję i w dniu 4 listopada 1945 ogłoszono, że dopuszczalne jest istnienie tylko sześciu partyj zarejestrowanych. Po tej odmowie, Zygmunt Żuławski wraz ze znaczną liczbą członków dawnej PPS wstąpił w grudniu 1945 do „jednolitej PPS", równocześnie on i pięciu innych działaczy zostało dokooptowanych do Rady Naczelnej tej PPS.

W marcu br. jednak Żuławski wraz z trzema towarzyszami złożył demonstracyjnie swą rezygnację z Rady, jako powód podając niewykonanie porozumienia, na którego podstawie zgodził się wstąpić do partii. Chodziło tu głównie o zobowiązania, zapewniające jego grupie pewien wpływ na życie wewnętrzne stronnictwa.

„GÓRA" I „DOŁY" T. ZW. P.P.S.

Epizod z Żuławskim i towarzyszami ujawnił rozdźwięk, jaki istnieje między „górą" a „dołami" w dzisiejszej PPS. Oficjalne kierownictwo partii, pochodzące nie z wyboru, ale mianowane samo przez siebie i posłuszne dyktandu komunistów nie cieszy się poparciem, rzecz zrozumiała, znacznego odłamu „dołów" partyjnych, które tworzą dawni członkowie PPS. Najsilniejsze rozdźwięki wywołuje narzucona przez oficjalne kierownictwo partii polityka b. ścisłej współpracy z PPR, która określana jest hasłami „jedności w klasie robotniczej", lub „jednolitym frontem robotniczym".

Również, gdy reżim prowadził gwałtowną kampanię za t.zw. blokiem wyborczym, konferencje wojewódzkie PPS w Krakowie i Katowicach wypowiedziały się olbrzymią większością głosów przeciw stanowisku oficjalnego kierownictwa partii a wystąpiły za własną listą socjalistyczną. Także przy wybieraniu Rad Załogowych robotnicy w wielu fabrykach głosowali, wbrew poleceniom „góry", nie na wspólne z PPR listy, ale na własne.

W.R.N.

Niedawno temu organ komunistów „Głos Ludu" zamieścił obszerny artykuł p.t. „W.R.N. nie rozbije jedności klasy robotniczej", poświęcony działalności tej organizacji reprezentującej pod okupacją autentyczną PPS. Komunistów najbardziej gniewa to, że WRN nie szedł na współpracę z komunistami i na ich koncepcje.

„Wielu wczorajszych WRN-owców pracuje dziś — pisze „Głos Ludu" (nr. 602) — *i pracuje dobrze przy budowie Polski Ludowej. Ale dotyczy to nie wszystkich członków WRN. Zatruci jadem nienawiści do Związku Radzieckiego, do Polskiej Partii Robotniczej, do reform społecznych, przeprowadzonych przez demokrację ludową — dawni rozbijacze frontu jednolitego i narodowego i dziś prowadzą oszczerczą kampanię przeciw reprezentantom nowej rzeczywistości polskiej...*

Artykuł ten zamieszczony w głównym organie PPR jest znamienny. Dowodzi on, że w „dołach" dzisiejszej partii socjalistycznej muszą być znaczne — skoro nimi tak obszernie zajmują się — rzesze socjalistów, „którzy ulegają WRN-owskiej argumentacji", czyli przetłumaczywszy to na prosty język: ludzie, stojący wiernie przy prawdziwej, przedwojennej PPS.

DYSKUSJA WACHOWICZ-GOMÓŁKA

Ostatnio znów dyskusja na łamach prasy między łódzkim działaczem socjalistycznym H. Wachowiczem a przywódcą komunistów Gomółką ujawniła w jaskrawej formie niezadowolenie niektórych kół socjalistów.

Dyskusję tę rozpoczął na łamach łódzkiego organu PPS „Kuriera Popularnego" H. Wachowicz, który właśnie podał się do dymisji ze stanowiska wiceministra bezpieczeństwa. Tło tej dymisji jest charakterystyczne i zostało przemilczane przez prasę reżimową.

Otóż, Wachowicz w czasie urlopu ministra bezpieki Radkiewicza, zwolnił z aresztów wielu ludzi m.in. działaczy WRN. Gdy Radkiewicz wrócił i dowiedział się o tym — polecił ponownie aresztować zwolnionych. Z tego powodu Wachowicz zrezygnował z zajmowanego stanowiska. Po pewnym czasie, w trzech kolejnych numerach „Kuriera Popularnego" omówił on stosunki między PPS a PPR.

Artykuły Wachowicza, widocznie zbyt niebezpieczne dla reżimu, by je pozostawić bez odpowiedzi, spowodowały artykuł Gomółki na łamach „Głosu Ludu" (nr. 614), przy czym wypowiedzi tej nadano zewnętrznie formy ostentacyjne. Gomółka skarcił surowo wystąpienie działacza socjalistycznego.

Nie przeceniając tych rozdźwięków między polityką oficjalnej „góry" dzisiejszej PPS a „dołami" partyjnymi, można jednak stwierdzić, że świadczą one o toczącej się walce wewnątrz tego stronnictwa.

Walka ta jest wycinkiem walki ogólnej, która toczy się o polskie oblicze Kraju.

TADEUSZ NALER

Z Powstania warszawskiego: Już prawie koniec

Kończył się pięćdziesiąty dziewiąty dzień Powstania. Było już po godzinie czwartej po południu. Po dwu ostatnich bardzo ciężkich dniach, pełnych ruchu, intensywnej strzelaniny na naszym odcinku i tragicznych wieści z Mokotowa — zapanował spokój w tej przedwieczornej godzinie.

Była to właściwie cisza niezwykła i niepokojąca. Nerwy przyzwyczajone do nieustannej kanonady, grzmotu wybuchów i terkotu broni maszynowej nie uległy odprężeniu, ten spokój nie był kojący. Odczuwałem jakiś lęk, nic bliżej określonego, ale było to przeświadczenie, że zbliża się coś, czego zatrzymać, ani odwrócić nie można, to, o czym nie mówimy i nie myślimy, a co nieuchronnie wisi nad nami i całą naszą sprawą. Natrętna myśl nie dawała się odpędzić... Przecież mimo wszystko nie będzie chyba mowy o kapitulacji. Jest źle, nawet bardzo źle, ale... Właściwie nie ma żadnego „ale", najlepiej o tym nie myśleć, a w każdym razie nie w tej chwili.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła piąta. A więc dopiero niespełna pół godziny od czasu, kiedy zacichły ostatnie strzały, powstrzymujące nacisk niemiecki od strony Sejmu. Linia frontu ciągnęła się tak blisko siedziby Dowództwa Śródmieście Płd., że ze specjalną wyrazistością słychać było wszystko, co się działo na stanowiskach Batalionu „Miłosz". Z własnego nasłuchu znaliśmy sytuację na tym terenie wcześniej, nim zdążyły nadejść oficjalne meldunki.

Zły urok ciszy przerwało nagle klaskanie pojedyńczych wystrzałów, z furią zagdakał długą serią oddalony — pewno niemiecki kaem — krótko odwarknęła mu nasza maszynka, jeszcze trochę trzaskania strzałów karabinowych, parę wybuchów granatów i znowu cisza. Cała zabawa trwała krótko.

Wiedziałem co będzie dalej. W tej chwili idą meldunki z poszczególnych kompanii do dowództwa Batalionu „Miłosz", stamtąd przekażą je do dowódcy odcinka „Bogumił", a za parę minut my je otrzymamy. U „Bogumiła" jest porządek, droga służbowa zawsze obowiązuje.

„Bogumił", „Miłosz", „Krzesław" — wszystko słowiańskie zawołania bliskich pracowników z czasów konspiracji przeciwniemieckiej naszego dowódcy, ppłk. „Sławbora" — wielkiego czarodzieja południowej części Śródmieścia, gentlemana z ducha i czynów, wspaniałego Polaka i oficera.

Zadzwonił telefon. Adiutant „Bogumiła" donosił, że „Miłosz" zlikwidował próbę niemieckiego natarcia. W krótkim przeciwuderzeniu paru naszych plutonów z kompanii „Ziuka" i „Bradla" zdobyto trochę broni i amunicji. Straty własne niewielkie. Czterech rannych i zabita jedna sanitariuszka z bojowego patrolu sanitarnego.

— „...w czasie zakładania opatrunku, postrzał w samą głowę, zginęła na miejscu, wieczorem pochowają ją, ksiądz „Burza" już się tym zajął" — słyszałem równy i spokojny głos.

— „Czy macie jeńców?" — pytałem. Mój rozmówca był zlekka zdziwiony.

— „Jeńców nie ma, to byli przecież żandarmi i SS-mani, a oni nie poddają się, nie mają zresztą poco. Od czasu wycofania z tego odcinka batalionu niemieckich kryminalistów, tego *Strafbatalionu* z głębi Niemiec — jeńców tam nie miewaliśmy".

— „Dziękuję panu porucznikowi— trzymajcie się" — położyłem słuchawkę.

To „trzymajcie się" było właściwie zupełnie niepotrzebne. Było powszechnie wiadome, że żołnierz nasz trwa nad podziw dobrze. Oficjalne komunikaty określały ten nastrój słowami: „duch żołnierza bardzo dobry". Ten hartowny duch nie załamał się w ogniu ciężkiej artylerii niemieckiej, nie zesłabł w grzmocie bomb miotanych z pikujących ze świstem „Stukasów", nie prysnął w huku domów walących się w pył od detonacji „tłustych cielaków", nie uleciał z dymem pożarów płonącej Warszawy, nie uląkł się chichotu „ryczących krów" i nie skapitulował przed głodem i chłodem. Dzielnica padała za dzielnicą. Żołnierz walczył i ginął. Kto nie padł, przebijał się do następnego ogniska walki.

Na przełomie pierwszego miesiąca Powstania — po upadku Starego Miasta — przejawił się pewien kryzys. Były to pierwsze objawy zmęczenia. Przesilenie to trwało krótko i żołnierz stał się już odporny na wszystko. Teraz wiedział, czego nie należy się spodziewać. Nie demoralizowała go więc zupełna pod względem praktycznym nicość powietrznych zrzutów, nie dziwił się, że nawet po zajęciu Pragi przez Sowiety wojska czerwone nie rozerwały niemieckiego pierścienia dokoła Warszawy, nie dyskutował dlaczego Alianci z zachodu przyznali mu prawa kombatanckie dopiero po dwudziestu dziewięciu dniach walki, nie dziwił się nawet, gdy działa sowieckie z Pragi, strzelając do stanowisk niemieckich na naszym brzegu, jednocześnie zajadle tłukły po liniach powstańczych, a zabici i ranni od tych, tak bardzo zbłąkanych pocisków sowieckich zdarzali się nawet daleko na zapleczu powstańczego frontu.

I tylko dość często żołnierskie przekleństwo goniło unoszące się w przestworzach samoloty. Niemieckie „Stukasy", pozbywszy się ładunku bomb — dopiero co wpakowanych w Warszawę — lekko i chyżo uciekały przed czerwonymi myśliwcami, które ogromną szybkością w gonitwie starały się nadrobić swoje spóźnienie w chwili, gdy niemieckie bomby spadały na walczące miasto. Na ten widok przekleństwa żołnierskie nie zawsze odnosiły się do Niemców.

Biorąc to wszystko pod uwagę można było twierdzić, że duch był wspaniały. Najwspanialszy jednak duch musi mieszkać w jakimś ciele, a ciało to należy nakarmić i odziać. Bez powłoki cielesnej najwspanialsze nawet duchy — zwłaszcza na wojnie — są bezużyteczne.

Sprawa zaś dalszego odziewania i karmienia nie budziła już żadnych wątpliwości. Żywność kończyła się definitywnie. W naszej części Śródmieścia od samego początku nie było zbyt wielkich zapasów, nie była to przecież dzielnica magazynów. Już od połowy sierpnia żyliśmy makaronem przynoszonym z Czerniakowa. Chodziły tam specjalne kompanie transportowe i przynosiły na plecach jedzenie dla dziesiątków tysięcy ludzi.

Był z tym cały kłopot, bo dojście na Czerniaków nastręczało duże trudności, zwłaszcza dla większej grupy idących. Zanim został wykopany rów łącznikowy wzdłuż Książęcej, prowadzący do rogu Rozbrat, przejście górą ulicy było bardzo niebezpieczne. Kompanie transportowe — złożone przeważnie z cywilów obojga płci — ponosiły krwawe straty od dwustronnego ostrzału z kierunku wiaduktu i Frascati. Dla zachęcenia ludzi dawaliśmy im więc początkowo 20, a potem nawet 50 procent przynoszonych produktów. Zapasy przeto wyczerpywały się szybko. Makaron był bardzo dobry, ale wnet się skończył.

Potem żyliśmy ziarnem pszenicznym i jęczmiennym z zasobów płk. "Radwana". Ziarno to również trzeba było przynosić z północnej części Śródmieścia. Gotowało się z tego „plujzupkę" po uprzednim ześrutowaniu na młynkach od kawy i namoczeniu w wodzie. Strawa ta miała w sobie tyle paździorów, kłujących w podniebienie, że po każdej łyżce trzeba było pluć dookoła. Stąd właśnie powstała ta melodyjna nazwa „pluj-zupki".

Mięsa i chleba nie było oddawna, tłuszczu także. Konie, któreśmy u siebie mieli, już wszystkie zjedzone. Ostatnio zabrano się do piesków. Jako jeden z pierwszych poszedł na stół Medorek z kompanii „Bradla". Przypominał podobno w smaku sarninę — tak przynajmniej twierdziły niewiasty, prowadzące tam kuchnię.

Do tej pory jedynie naprawdę ratował nas cukier, którego kilkadziesiąt tonn znaleźliśmy na naszym terenie, ale zapasy jego były już prawie wyczerpane. Ostatnio zaś kończył się i jęczmień. Wygrzebano jeszcze w jakichś składach trochę suszonej kapusty i buraków, ale praktycznie biorąc był to już koniec. Kwatermistrz mjr. „Wąsal", doskonały gospodarz, rozłożył ręce i oświadczył, że według jego przewidywań ostatnie porcje zostaną wydane na dzień 5-ego października, a potem...potem już nic do jedzenia nie będzie. A więc jeszcze tylko jeden tydzień.

W związku z tym nasuwało się jedno praktyczne pytanie; jak długo można nie jeść i zachować fizyczną zdolność do walki? W naszych warunkach chyba nie dłużej, aniżeli tydzień. W najlepszym wypadku więc mieliśmy przed sobą w sumie jeszcze dwa tygodnie. Prawdopodobnie w dniu 12-ego października, jeśli Niemcy nie zetrą nas do tego czasu z powierzchni ziemi, będziemy całkowicie gotowi, aby wypuścić broń z ręki i choćbyśmy nawet mieli wtedy masę broni i stosy amunicji, to już i tak nie damy dalej rady. Może uda się ten termin jeszcze przedłużyć o dwa, czy też trzy dni, ale zasadniczo sprawy to już nie rozwiąże.

Co do tego punktu nie mogło być złudzeń, tym bardziej, że już teraz żołnierz był niedożywiony. Co raz częściej przychodziły meldunki, że żołnierze mdleją z głodu na stanowiskach, o lepszym odżywianiu rannych nie było nawet mowy, a zagadnienie dostarczenia żywności dla osób cywilnych było w ogóle nie do rozwiązania. Rejonowy delegat Rządu stwierdzał, że ma na kuchniach Rady Głównej Opiekuńczej ponad 30.000 osób cywilnych, całkowicie pozbawionych środków spożywczych. Ludzie ci żyją jedynie tą jęczmienną zupką, którą otrzymują raz dziennie. Co dalej z nimi?

Sytuację zaś jeszcze pogarsza ustawiczny brak wody. Stale jej potrzeba do gotowania zupy i kawy, do picia oraz obmywania rannych. Potrzebuje jej zarówno wojsko, jak i ludność cywilna. A tymczasem wodociągi nie działają już od 14-ego sierpnia. Radziliśmy sobie, kopiąc studnie. Po upadku Czerniakowa pozostało ich jeszcze na naszym terenie trzydzieści cztery zwykłe i dwie artezyjskie. Studnie te jednak wyczerpywały się wyraźnie. Godzinami trzeba było czekać aż woda do nich nacieknie.

W ogonkach po wodę działy się piekielne sceny. Specjalnymi rozkazami trzeba było uregulować godziny pobierania wody przez szpitale, oddziały wojska i ludność cywilną oraz ustalić dopuszczalną ilość wody dla każdej z tych grup. Funkcjonariusze Komendy Placu pilnowali pobierania wody stosownie do rozkładu i nieraz mieli wiele kłopotu, gdy studnia była sucha, czas przeznaczony dla danej grupy mijał a czekający nie mogli otrzymać swojej porcji, podczas gdy nadciągali nowi przybysze, wyznaczeni na następne godziny. Potrzeba było wtedy iście Salomonowych rozstrzygnięć, aby wybrnąć z takich sytuacji.

Wody było bardzo mało. W ostatnich tygodniach rzadko kiedy można było się umyć. Chodziliśmy brudni i pokryci pyłem domów walących się od bomb i pocisków. Pożary gaszono wyłącznie piaskiem, rozrywając bosakami i rąbiąc siekierami palące się wiązania i drewniane urządzenia lub meble.

Z odzieniem działo się także źle. Powstanie zaczynaliśmy w gorące dnie sierpniowe, lekko ubrani. Teraz październik za pasem. Coraz więcej chorych z przeziębienia odpada ze służby. Ubrania zdarły się, obuwie poniszczone na gruzach i przepalone na zgliszczach, które trudno ominąć. Szczególnie biedne były pod tym względem nasze niewiasty — ruszyły przecież do walki w cieniutkich sukieneczkach i trepkach, a cieplejsza odzież i obuwie w wielu wypadkach spłonęły. Nic więc dziwnego, że jeńcom niemieckim zabieraliśmy mundury i buty dla własnych potrzeb. Bardzo jednak trudno było o płaszcze, często niezbędne dla pełnienia służby, zwłaszcza w nocy.

Od chłodu nie zabezpieczał pobyt na kwaterach, bo w całym mieście brakowało szyb w oknach. Kwater także ubywało. Z każdym dniem waliły się dziesiątki domów, a często i piwnice były rozwalane lub zasypane gruzami. Od wybuchu „tłustego cielaka" solidnie budowane domy Śródmieścia kładły się aż do fundamentów. Na ulicach wyrastały góry gruzów ponad wysokość normalnego pierwszego piętra, a z zasypanych piwnic często przez długie godziny dochodziły wołania o pomoc.

Odgrzebywanie przysypanych ciągnęło się całymi dniami, wymagało wysiłku setek rąk, trwało w ogniu artyleryjskim i ogniu moździerzy i pociągało nowe ofiary w ludziach spośród ratujących, a skutek tych wysiłków często bywał wątpliwy, bo zanim dokopano się do piwnic, pogrzebani tam już nie żyli. A jednak trzeba było robić wszystko, co możliwe, aby zasypanych ratować. Była to prawdziwa makabra.

Najtrudniejsza jednak do rozwiązania była sprawa rannych. Brakowało dosłownie wszystkiego: lekarzy, sanitariuszek, środków opatrunkowych i leczniczych oraz pomieszczeń na szpitale. Ranni umierali tysiącami — żołnierze i ludność cywilna. Front i śmierć, kalectwo i rany były wszędzie. Ranni często umierali parokrotnie — od ran otrzymanych w walce oraz w czasie bombardowań szpitali lub mordowani przez Niemców, gdy szpital dostawał się w ich ręce. Były to wypadki znane i stwierdzone, np. w gmachu „ZUS'u" przy ul. Rozbrat.

Wszystko to stwarzało sytuację beznadziejną. Byliśmy już naprawdę u kresu ludzkich sił i możliwości. Mogła nas już spotkać tylko zupełna zagłada. W czasie tych ośmiu tygodni walki daliśmy z siebie maksimum wysiłku, a teraz Warszawa dźwigała już ciężar ponad normę.

Głowa aż ciążyła od tych medytacji.

LEWAR

Gawędy o W. Brytanii

Uprzejmość angielska

Grzeczność jest jedną z najbardziej ujmujących cech angielskich; zaznaczmy od razu, iż jest to grzeczność odmiennego nieco rodzaju, aniżeli dworność czy „galanteria", których ideały stworzyły Włochy oraz Francja (ten właśnie rodzaj uprzejmości, włoskiego i francuskiego, by tak rzec chowu, przyniesiony został do krajów Europy wschodniej). Angielska uprzejmość jest tworem osobliwego rodzaju: można by powiedzieć, iż jest ona pochodną dwu cech tego społeczeństwa — cierpliwości i zaufania.

Francuz jest bodaj zbyt porywczy, zbyt działa pod wpływem odruchów, ażeby zdobyć się na grzeczność, pochodzącą z cierpliwości; staje się on zbyt szybko niecierpliwy, gdy spostrzega, że rozmówca nie rozumie tego, co się do niego mówi albo rozumie zbyt powoli. Lotny i bystry Francuz nie ma nadmiaru cierpliwości dla ludzi powolnie myślących albo źle się wyrażających językiem francuskim. Natomiast Anglik wysłuchuje cierpliwie dukania cudzoziemca i potrafi zdobyć się na istne akty bohaterstwa w tej dziedzinie.

Uprzejmość Anglika jest wynikiem jego zaufania do człowieka, a zatem stosunku życzliwego raczej, aniżeli nieufnego. Jest to jeszcze jeden z wyrazów angielskiego optymizmu życiowego. Anglik uważa, że lepiej jest przyjąć, iż świat składa się z ludzi dobrych i że zło spotyka się rzadko. Jeżeli zaś spotyka zło, chętnie zwala to raczej na nieświadomość czy głupotę człowieka.

Prowadzi go to często zbyt daleko: niechęć dostrzegania rzeczy złych, ponurych, ciemnych w życiu sprawia, iż nakłada on często „końskie okulary" i nie objawia chęci dostrzeżenia zła czy nędzy. Jest rzeczą charakterystyczną, iż wielu Anglików z lepszej sfery nie dopuszcza w ogóle istnienia u siebie takich rzeczy, jak *slums*, nędzne zaułki, jak głód i td. Nie chce widzieć pewnych stron życia i jeżeli mu o tym przypomnieć, odpowiada często: „ci, co to robią, to nie są Anglicy". Jest to dziecinna niemal chęć niedostrzegania tego, czego dostrzec się nie chce; jest to osobliwa wola niedopuszczania do swojej świadomości faktów i obrazów przykrych. Albowiem Anglik nosi w sobie przekonanie, iż nadmierna świadomość tych spraw psuje mu smak życia; a życie jest od tego, ażeby się nim cieszyć: *life is to be enjoyed*.

Wynikiem tej postawy życiowej jest np. w dużej mierze niechęć społeczeństwa angielskiego pogodzenia się z faktami okrucieństw i *atrocities*, popełnianych przez Niemców; niewiara ta trwała właściwie aż do chwili odkrycia obozów koncentracyjnych w Rzeszy. Owocem tego stanowiska była niechęć do przyjęcia tezy o winie społeczeństwa niemieckiego, które dopuściło do barbaryzacji swojego kraju. Nawet zapoznawszy się z *atrocities* hitleryzmu Anglicy wolą o tym zbytnio nie myśleć.

Cudzoziemca może to złościć i niecierpliwić, ale ta postawa angielska wynika z woli dostrzegania rzeczy jasnych w życiu, cieszenia się życiem; stosunek Anglika do człowieka jest nacechowany zaufaniem. A skoro ma się do kogoś zaufanie, trzeba być dla niego uprzejmym. Biada jednak temu kto nadużyje zaufania Anglika; w kraju tym nie opłaca się zmyślać, kręcić, kłamać. Nie opłaca się też próbować obchodzenia prawa.

Uprzejmość angielska spadła poważnie w dobie wojny i dlatego ci, co dzisiaj zapoznają się z Anglią nie mogą mieć istotnego wyobrażenia o przedwojennych urokach tej grzeczności. Trzeba powiedzieć, iż mało było w świecie krajów tak przesiąkniętych uprzejmością (do tego ideału zbliżała się Dania i Szwajcaria). Nie tylko bowiem odnoszono się do człowieka uprzejmie i z zaufaniem, ale starano się mu pomóc.

Można by cytować setki wypadków, w których uprzejmość angielska — z okresu przedwojennego, albowiem wojna zbrutalizowała stosunki międzyludzkie — zabłysła w pełni. I tak np. pamiętam sam jak za mojej pierwszej bytności w Anglii zabłąkałem się w City. Zapytałem więc o drogę jednego z przechodniów, który nie należał do młodzików. Powiedział, że ulica, której szukam będzie trzecią na prawo. Idąc dalej w poszukiwaniu mojej ulicy, posłyszałem za sobą przyśpieszone kroki: to starszy pan gonił za mną, ażeby powiedzieć, dopadłszy mnie, że ulica, której szukam jest czwartą na lewo.

Formuła „*thank you*" jest niewątpliwie najczęściej używaną ze wszystkich formuł w tym kraju. Zarówno bileter w autobusie, jak urzędnik w biurze traktuje klienta tym zwrotem; często już przy zwróceniu się do pasażerów w pociągu czy autobusie słyszymy owo „*thank you*" („*tickets please, thank you*"). Anglicy uważają — i słusznie — że grzeczność ułatwia życie, podobnie jak uśmiech. Że nic nie kosztuje a daje wzamian zarówno dobre samopoczucie, jak i przyjaźń ludzką. Dlatego używają zarówno grzeczności, jak uśmiechu w większej dozie, aniżeli narody kontynentu.

W pewnej mierze formuły grzeczności i uśmiechu weszły w krew mieszkańców tego kraju i stały się niejako składową częścią ich rytuału życia. A więc gdy ktoś nastąpi nam na nogę należy się uśmiechnąć i powiedzieć: „*that's all right*". Albo przy innych nieprzyjemnych przeprawach: „*never mind*". Tego rodzaju opanowanie własnych odruchów jest — zdaniem angielskim — pewnego rodzaju higieną wewnętrzną: nie zakwaszamy się urazami, nie gromadzimy żalu do bliźnich.

Nawet jednak w dobie wojny oglądać można było na każdym niemal kroku działanie tej odruchowej uprzejmości: w schronach czyli *shelterach*, na ulicach, w nudnych „ogonkach" żywnościowych. Jeden z moich znajomych polskich opowiadał mi, jak którejś nocy znalazł się na ulicy w czasie nalotu i bomba niemiecka trafiła dom w pobliżu. Rzucił się na bruk, ażeby uniknąć lecących odłamków i gruzu a tuż przed nim padł na ziemię w tym samym celu jakiś starszy Anglik. Gdy niebezpieczeństwo minęło, znajomy mój dźwignął się na nogi i otrzepał. Starszy jegomość, który o wiele powolniej zbierał się z bruku, zwrócił się do towarzysza przeprawy i spytał: „*are you all right, sir?*" Były to pierwsze jego słowa wypowiedziane po wybuchu bomby.

Uprzejmość angielska wyraża się m.in. w rzeczach takich, jak pisywanie listów i szybkie odpisywanie na nie. Nieodpisanie na list uważa się — i słusznie — za nieuprzejmość. Cudzoziemcy nieraz nie potrafią tego zrozumieć. Szczególnie Polacy, którzy piszą na ogół chętnie — ale nie listy — nie mogą się nadziwić, iż ich nieodpowiedzenie na list zepsuło ich stosunki z tym czy innym znajomym angielskim.

Odpisywania na listy trzeba w Anglii przestrzegać: i znowu Anglik odpisując zaraz na list wychodzi ze słusznego życiowego założenia, iż jeżeli nie odpowie się na list zaraz, to im dalej, tym trudniej jest to uczynić. Anglik sądzi, że szybkie odpowiadanie na listy upraszcza życie. Trzeba mu w tym przyznać słuszność. Jakkolwiek trudno cudzoziemcowi zrozumieć pasję posyłania życzeń Na Boże Narodzenie (*Xmas*) na prawo i lewo, co sprawia, że ludzie o większym kręgu znajomości muszą na dwa tygodnie przed świętami otwierać istne biuro pisania życzeń.

JAWNUTA



NA PACZCE OD MYDŁA...

Obywatelki i obywatele! Zgniła emigracjo i szczera demokracjo! Przyjaciele i wrogowie ludu! Faszyści i czerwonoskórcy!

Przepraszam was za tygodniową przerwę, moi mili demokraci, ale przyczyna jej była oczywista i aktualna: „skuoterzy“ (squatters) w Londynie zajęli mi moją paczkę od mydła. Szał zajmowania nieruchomości i ruchomości!

Dziś dostałem paczkę moją z powrotem, lecz musiałem użyć wysokich protekcyj ludzi znanych i szanowanych w sferach komunistycznych Londynu. W sprawie mojej paczki interweniował podobno sam generał (chyba już generał?) Katz-Suchy, as t.zw. Ambas-u.s.s.r.-ady polskiej w Londynie, cieszący się autorytetem wśród „skuoterów“. Nic dziwnego, przecież to jedna branża: on się włamał do ambasady polskiej w Londynie, oni do domu księżny Bedford.

Bo trzeba wam wiedzieć, że „skuoterzy“ nie tylko zajęli „Hotel Ivanhoe“ i moją paczkę. Nie tylko! „Skuoterzy“ z pod tego samego znaku zajęli bezprawnie naszą ojczyznę, włamali się do rządu polskiego i wywalili przemocą drzwi Belwederu. To oni rozbili bramy naszych ambasad i konsulatów na całym niemal świecie. To oni sprzedali połowę twego kraju, miły demokrato, zagrabili Wilno i Lwów oraz rozkradli bezcenne zbiory naukowe i pomniki kultury. „Skuoterzy“, moi mili, „skuoterzy“!

A teraz? Zabarykadowali się za żelazną okiennicą i grożą nam odebraniem obywatelstwa. Nam — oni! którzy pod naszą nieobecność wtargnęli do serca domu twego, zajmując meble i okupując ściany. Pod nieobecność, uważacie, prawego właściciela. Cóż, meble i ściany — to rzeczy martwe. Dusza, moi mili, dusza obywatela, dusza narodu — to rzecz nieśmiertelna! Duszy „skuoterzy“ nigdy nie opanują, bo u jej progu kończy się gwałt a sztuka włamania staje bezradna.

Ileż podobieństw, ileż podobieństw nasuwa się, obywatele, właśnie teraz, gdy patrzymy na ulice Londynu! Niedawno przecież rozsiedli się owi „squatters“ na środku jezdni w centrum stolicy i zatamowali ruch. Ani „w te ani we wte“ jak się mówiło u nas. Co wam przypomina ta sytuacja z ulicy londyńskiej? Jak mi Strassburger miły — nam też zatarasowano drogę do Polski, zatkano ruch i ani „w te ani we wte“! Przez takich właśnie ludzi z pod znaku sierpa i młota, którzy rozsiedli się na drodze naszego powrotu — nie możemy dostać się do naszego własnego domu!

Nie ma władzy, któraby — wzorem londyńskim — czołowych hersztów wzięła pod pachy i poprowadziła za kratki. Ale zaczekamy. Bądźcie obywatele spokojni! Oni pójdą tam prędzej czy później, bo wasze jest owo mieszkanie zajęte chwilowo bezprawnie przez „bieruto-skuoterów“! Waszą jest Polska. Waszą jest dusza...

A meble? Niech sobie biorą! Niech się cieszą! Nigdy takich nie widzieli. Niech się bawią ścianami i meblami. Tyle ich. Za kratkami ściany wilgotne i mebli ubóstwo.

W takim to właśnie dzisiejszym momencie, moi mili, gdy tymczasowi „skuoterzy“ warszawscy grożą włamaniem się do naszego obywatelstwa, gdy squatterzy angielscy popsuli sporo krwi zaprzyjaźnionemu z Rosją Sowiecką rządowi brytyjskiemu i zwolennikom komunizmu w tym kraju, w takim momencie w Ameryce wylazł sobie na swoją paczkę od mydła (a raczej od konserwy) z dobrą izolacją — niejaki minister Wallace (imiennik wielkiego fantasty kryminalnego) i kropnął mówkę aprobowaną przez Trumana, namawiając ni mniej ni więcej tylko do kapitulacji całego świata wobec Rosji Sowieckiej. Wielka heca wyszła z tego, moi mili demokraci, bo tam się pokazało, iż Truman zapomniał, że dał aprobatę i że Wallace zmienił mowę już w czasie stania na paczce, gdyż słuchacze — entuzjaści komunizmu — zaczęli go wygwizdywać.

Jako stary orator rozumiem go dobrze, ale wolałbym na jego miejscu zmienić paczkę i uciec z Hyde Parku, niż zmienić mowę i poglądy.

Nawiasem mówiąc wszystko to wygląda bardzo kryminalnie i tajemniczo. Nic dziwnego: Wallace!

Źle się dzieje, demokraci, w całym świecie i w Paryżu, ale cała nadzieja w obywatelu Winiewiczu, który jako stary Słowianin coraz częściej przemawia na konferencji pokojowej przeciw Polakom w cyklu płyt jugosłowiańsko-czesko-osóbkowskich „His Master's Voice“ (patrz złota seria ojca Stalina). Biedny „skuoter“ Winiewicz! Włamał się do „dyplomacji“ i złapał tytuł „chargé d'affaires“. Powinno być: „change adorateurs“. Tytuły — jak meble — niech biorą! Pełnymi garściami, póki Słonko Narodów świeci!

Żegnam was aktualnym zawołaniem: „Skuoterzy“ całego świata łączcie się, póki bezprawie trwa!

Nie czas żałować mebli, gdy płoną dusze!

Do usłyszenia za tydzień na tej samej paczce o tej samej porze, na tym samym miejscu.

Wasz

OBYWATEL ŻĄDEŁKO

Koło b. Żołnierzy A.K. w Anglii zwraca się do wszystkich Koleżanek i Kolegów z A.K. przybyłych z oddziałami 2. Korpusu do Wielkiej Brytanii o nawiązanie kontaktu korespondencyjnego. Umożliwi to rozszerzenie akcji poszukiwania rodzin i przyjaciół, udzielanie informacji, oraz uzupełnianie materiałów historycznych z działalności Armii Krajowej.

Adres dla korespondencji: Sekretariat Koła A.K., 7, Ashley Gardens, London, S.W1.

W nadsyłanych listach podawać należy dokładny adres i przydział obecny, pseudonim i ostatni przydział w A.K. Prosimy o jednoczesne wskazywanie adresów innych kolegów.

Zarząd Koła A.K. w Anglii

SPIS RZECZY

WYDAJE „FIGHTING POLAND“ TRUST

Adres Redakcji (Editorial Offices): 52 Halton House, 20-23 Holborn, London, E.C.1. Tel. CHAncery 7747.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: (z przesyłką pocztową) w Wielkiej Brytanii miesięcznie 1sh. 6d., kwartalnie 4 sh. 6d., w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie $1.00 c.

Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na „FIGHTING POLAND TRUST“ pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — £1 ($5). Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia na pierwszej stronie w miarę wolnego miejsca o 100% drożej. Ogłoszenia drobne 6d. za słowo

Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca.

Adres Administracji (Business Offices): 69, Earl's Court Square, London, S.W.5. Tel.: FLAxman 8600

Printed for „Polska Walcząca“ by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House Worship Street, London, E.C.2. Registered at the G.P.O. as a Newspaper